

Jim miał szesnaście lat, kiedy zobaczył pewnego dnia, na szkolnej przerwie, koleżankę z sąsiedniej klasy, Emily, która w ciągu jednego roku rozkwitła jak niesamowity kwiat, z dziecka w kobietę - wysoką i piękną dziewczynę z długimi, brązowymi włosami, niebieskimi oczami, delikatnymi dłońmi o wysmukłych, ładnych palcach, rozwiniętą ponad wiek i dającą obietnicę nieznanych przyjemności, które nie posiadały jeszcze nazwy. Od tamtej pory zaczął mieć poważne kłopoty z koncentracją, uwagą i snem, co skończyło się tym, że się beznadziejnie zakochał i wkroczył w obcą strefę, która dotąd była dla niego zagadką, bo miłość zawsze jest zagadką, choć mówi się o niej dziesiątki wyświechtanych, bzdurnych komunałów, zazwyczaj bez zastanowienia, bez chwili refleksji nad czymś, co często przerasta człowieka i jego zdolność pojmowania.

Jim poczuł, że kręci mu się wokoło cały świat, kręci się, jak nigdy jeszcze się nie kręcił.

Stracił zupełnie głowę. Zaczął żyć w snach, w przepięknych, kolorowych snach. Po raz pierwszy. Od tej pory spoglądał w jej stronę bez przerwy i marzył, aby zauważyła to jego spoglądanie. Tak się nie stało. Był dla niej jak powietrze, niewidzialny, przeźroczysty.

Choć ubierał się modnie i wielokrotnie specjalnie chodził przed nią, niby przypadkowo, by zwrócić na siebie uwagę, nic z tego nie wyszło – ona była na niego ślepa, jak martwy konar drzewa...

Miała jedną koleżankę, brzydką, rudą pokrakę, złośliwą i opryskliwą, która była przy niej cały czas w szkole i potem, kiedy we dwie wracały do domu, udając, że nie słyszą, że idzie za nimi kilkunastu chłopców gotowych skoczyć w ogień, aby móc umówić się choć raz z Emily i potem chwalić się tym przez rok przed innymi, którym zabrakło szczęścia lub odwagi, żeby postawić wszystko na jedną kartę. Nie spotykała się z nikim. Nie była zarozumiała, robiąc to, może po prostu nie była na to jeszcze gotowa. Była absolutnie niedostępna. Z boku można by pomyśleć, że interesowała ją tylko nauka i te wszystkie dyrdymały, które są w książkach i w zeszycie, i że na tym etapie życia to sens wszystkiego, a to, co ma nadejść, i tak kiedyś nadejdzie, lecz póki co, liczą się stopnie w szkole i opinia u nauczycieli.

Oni też spoglądali na nią z zainteresowaniem. Kobiety z beczelną zazdrością. Mężczyźni z niemym podziwem. Zwłaszcza fizyk, pan Ricky, podtusiały grubasek, który nie wiedział, co zrobić z oczami na jej widok, i kiedy ocierał chusteczką do nosa obficie spocone czoło i wciągał głęboko ustami powietrze, myślał wtedy o niej, tylko o niej. Specjalnie często wzywał ją do tablicy, żeby sobie popatrzeć i pomarzyć. Jego policzki stawały się wtedy czerwone, a oczy roziskrzzone. Ze śliniących się ust wydobywało się jakieś nerwowe jąkanie, jakieś bezładne dźwięki. Zawsze dostawała u niego najlepsze stopnie i najdłużej była pytana.

Po lekcji namiętnie omawiał jej klasówkę i to, co zrobiła w niej dobrze lub źle, byleby tylko pobyc w jej towarzystwie bodaj pięć minut dłużej, popatrzeć w jej oczy, rzucić okiem na zmysłową figurę. Była jak wyzwanie dla każdego, kto szuka miłości. Każdy widział, że jest do niej stworzona. To, że jej sama nie szukała sprawiało, że inni tak do niej Ignęli. Jak ćmy do świecy. To było zjawisko na skalę niespotykaną, coś, co widział każdy i rozumiał każdy.

Nikt nie miał takiego powodzenia, żadna dziewczyna w tamtej szkole, nigdy wcześniej, ani nigdy potem. Bo są czasami ludzie, którzy roztaczają wokół siebie nieziemską magię i w tym, co robią, nie mają sobie równych, choć zapewne nic nie robią, aby tak było – tacy się po prostu urodzili i całe to zjawisko żyje własnym życiem, bez ich woli, gdyż mają najzwyczajniej własny czar, który ich otacza i wpływa tak silnie na otoczenie, że poddaje się ono ich urokowi, w niemym zachwycie i w poczuciu podziwu, jaki pojawia się zawsze tam, gdzie rodzi się zjawisko...

Emily była zjawiskiem.

Była nim w stu procentach.

Każdego dnia, w każdej minucie swego młodego życia. Cała szkoła obserwowała, jak szła, jak rozmawiała, jak jadła kanapkę z żółtym serem. Patrzono na jej włosy, spodnie, bluzkę i buty. Na jej uśmiechy i spojrzenia.

Robili to wszyscy, i chłopcy, i dziewczęta. Każdy. Jim też. On chyba najbardziej. Jakby świat zniknął nagle i była tylko ona. Stał, gdzieś pod ścianą, i patrzył na nią mętnym wzrokiem.

Nie obchodziło go to, że za chwilę dostanie dwóję z matematyki. To musiało się tak skończyć, skoro cały poprzedni dzień, zamiast uczyć się, myślał uporczywie o niej i tylko ją miał w swej wyobraźni. A niech dadzą tę dwóję! A co tam, są rzeczy ważniejsze!

Ona była tą rzeczą – jej istnienie zamieszało mu w głowie na zawsze.

Na zawsze, nieodwracalnie, bezpowrotnie.

Już nie wiedział, kim był rok temu czy dwa. Ten etap właśnie się zakończył. Był teraz zdany na nią, choć jeszcze nie mógł wiedzieć, co to oznacza. Co to może oznaczać w przyszłości.

Tak było, tak właśnie było.

Lata, które miały dopiero nadejść, były znakiem zapytania i nikt o nich nic nie wiedział.

Czasem to i lepiej, bo nie każda wiedza przychodzi jak radosne objawienie. Bywa niczym specjalnym, niczym wesołym. W ogóle bywa niczym...

Pewnego dnia, w kwietniu, po kolejnej, nieprzespanej nocy, pełnej marzeń, Jim zebrał się na odwagę i zdobywszy numer telefonu do Emily, pewnego popołudnia, zadzwonił do niej, nie myśląc wiele i nie bacząc na skutki. Co ma być, to będzie!

Rozmawiali ponad godzinę – zgodziła się zostać jego dziewczyną.

Był wniebowzięty – jego sen był prawie rzeczywistością...

Ona nie miała w tamtym czasie żadnych ambicji, co do chłopaka, z którym miałyby chodzić.

To kłóciło się z jej wizerunkiem, jej wyglądem, jej zachowaniem, choć cichym i zmysłowym, jednak dającym jasno do zrozumienia, że jest dziewczyną, która mogąc mieć każdego, może okazać się prawdziwym wampem i wulkanem namiętności, dzikim i nieokiełznanym, pełnym samouświadamienia odnośnie własnego erotyzmu, jak i także oczekiwań z nim związanych, a więc tym samym niebezpiecznym, gdyż mogącym wybuchnąć w każdej chwili, bez ostrzeżenia. Jemu wydawało się, że się rozumie. Że zaiskrzyło. Że od tej pory będą parą i spędzą ze sobą każdą chwilę w szkole i poza nią. Patrzył ona nią swoimi oczami.

Rzeczywiście – przychodził z nią na lekcje, na przerwach byli ze sobą, by potem, po szkole, wracać razem, przez park, potem drugi, bulwarami nadrzecznymi ku osiedlu domków jednorodzinnych, gdzie mieszkała Emily, i tam rozstawać się.

Czasem zapraszała go do siebie, czasem nie.

Raz dała się pocałować, innym razem była zimna jak gład.

Bywało, że miał ją blisko siebie, przytuloną.

Potem szli parkiem, osobno, jakby oddzielał ich niewidzialny, metrowy mur.

Nie było reguł.

Ona była zbyt skomplikowana, zbyt złożona jak na jego naiwną, romantyczną miłość, która nie przewidywała takich niespodzianek. Nie umiał dotrzymać jej kroku. Nie mógł jej przejrzeć – był tak zakochany, naiwny, dziecinny i łagodny z natury, że połowa rzeczy, które powinien zauważyć, umykała jego uwadze, połowa rzeczy, które były naprawdę istotne i coś znaczyły, nie rzuciła mu się nigdy w oczy, połowę rzeczy, z których powinien wyciągnąć szybko wnioski, puszczał lekko między palcami i nawet nie dostrzegał ich istnienia, gdyż wrodzona dobroć nie pozwalała mu na myślenie kategoriami krętaczy. W całym swym zaślepieniu nawet nie dostrzegł, że jej motywy są zgoła inne niż jego – ona spotykała się z nim dla zabicia czasu, z nudów, bez celu, ot tak, żeby kogoś mieć. Był wypełnieniem jej pustych godzin

po szkole. Kimś, z kim rozmawiało się przez jakiś czas, aby nie czuć wieczorem ssącej wewnętrznego samotności i bolesnego poczucia, że inne dziewczyny tego dnia odkryły, co to znaczy kochać i jak wygląda wówczas życie, kiedy nadaje się z kimś na tych samych falach, chociażby pozornie. To wśród rówieśników oznacza powodzenie.

Udawała, że darzy go sympatią, a on w to szybko uwierzył. Dał wiarę temu, czemu chciał dać wiarę. Nie kierował się rozumem, kierował się sercem.

Nawet przez krótki moment nie zależało jej na nim – chłopak na randki, bez zobowiązań, naiwniak – to on! Tym był. Nikim innym. Nawet nie zdążył zaistnieć. Był towarem zastępczym. Zabawką w rękach rówieśniczki, która z mlekiem matki wyssała wszelkie sztuczki omamiania mężczyzn i owijania ich sobie wokół najmniejszego palca, gdyż taka właśnie się urodziła, i nie umiała inaczej, bo nie można zbyt długo udawać kogoś, kim się nie jest, i skoro te cechy dominują, to oznacza, że w męskim świecie trzeba zrobić wyłom i wdrzeć się doń za wszelką ceną, aby po kobiecemu, zaistnieć tam i pozostać, bo tylko wtedy można mówić o sukcesie...

Czasem myślał o niej jak o kimś niedostępnym, do kogo tylko nieliczni mają dostęp.

Tacy jak on.

Tak chciał wierzyć – był młody.

Gdy nadszedł gorący czerwiec, spotykali się w parku i tam całowali godzinami. Jim uwierzył, że tak już pozostanie, że ma ją dla siebie. W domu, na poduszce, czuł jej oddech. Wokoło unosił się jej zapach. Ośmielił się marzyć razem z nią. Planować życie i mówić śmiało o przyszłości. O czymś, co zakochani mają od losu za darmo, w prezencie. O wspólnym, kolorowym życiu, o wspólnych nocach i dniach. Wpatrzony w jej oczy, jak zamroczony, mówił godzinami o miłości. Ona nie przeczyła – szeptała mu, że tylko on się liczy, tylko on jest w jej sercu, nigdy nie będzie nikogo innego. Przytakiwała mu, bo ta gra tego wymagała.

Słowa, które padały z jej ust, były tak naprawdę tylko i wyłącznie jego słowami.

Czy powiedziała coś od siebie, tak naturalnie, tak zwyczajnie?

On zadawał wiele pytań i sam sobie odpowiadał, kiedy w jej usta wkładał gotowe odpowiedzi, a ona skwapliwie mówiła: „Tak, oczywiście, pewnie, na zawsze, na wieki, przysięgam...”

Jego ucho wiele słyszało. Ona dała mu setki słów, z którymi musiał pozostać. Dostał je tak łatwo, tak lekko. Wchłonał je w siebie, bo tego pragnął. Potem, w domu, nie potrafił przez całą noc zmrużyć oka – przez nią był do bólu trzeźwy i patrzył nieruchomo w sufit, odliczając godziny do chwili, kiedy znów ją zobaczy, poczuje jej ciepłą dłoń, jej boską obecność, i spojrzy w jej oczy, mówiące mu, że to przetrwa do końca świata i że nic nie zabije ich miłości, bo to szczerą miłość, która zdarza się raz na sto lat.

Całe swoje młode życie podporządkował jej.

I czas spędzany w szkole i po niej.

Zawładnął nim do ostatniej minuty i był szczęśliwy, że ma ją bez przerwy. Inaczej już by nie umiał – gdyby jej zabrakło, jego życie skończyłoby się w mgnieniu oka. Czasem zdawało mu się, że to wszystko naprawdę się nie dzieje, że to tylko piękny sen, z którego będzie musiał się kiedyś gwałtownie obudzić, spojrzeć w szarą twarz rzeczywistości i zapłacić za chwile szczęścia, które przeżył, zapłacić za każdy pocałunek tysiącem łez, od których utworzy się spore morze...

W jego pokoju, na ścianach, wisiały gęsto jej zdjęcia, na które patrzył wieczorem i rano.

Wiedział, że na zawsze zapamięta każdą, małą chwilę, kiedy je robił, każde z osobna, i czuł, że to jest jego prawdziwa, prosta, lecz zarazem niezwykła i bajkowa historia, gdyż dzięki niej wkroczył nagle do innego, nowego świata, z którego nie mógłby już zrezygnować i bez którego nic nie miałoby już najmniejszego sensu.

Nawet nie zauważył, że ona nie miała żadnego jego zdjęcia – nawet raz nie wysiliła się, aby jakieś zrobić, pozwalając się uwielbiać i adorować zamroczonemu jej urokiem, chłopakowi...

Pozowała mu jak aktorka, a on był w siódmym niebie. Dawała się zapraszać to tu, to tam, lecz nigdy nigdzie, poza swoim domem, gdzie częstowała go ciastem jej matka, nie zaprosiła go – ani do kina, ani do najtańszego w mieście baru. Nie chciała wyjechać z nim na wakacje – wołała z koleżankami do babci. Wtedy jeden, jedyny raz napisała do niego, małą, nędzną pocztówkę, która doszła jakaś pogięta i brudna, na której było pięć zdań o treści ogólnej, że jest jej dobrze, że pozdrawia, że ma nadzieję, że on za nią cały czas tęskni.

Tęsknił. I to jak! Do tego stopnia, że z tamtych wakacji nic poza tym tęsknieniem nie zapamiętał. Nic się dla niego nie wydarzyło, nic nie miało znaczenia, choć wokół było piękne lato. Jej pocztówkę traktował jak relikwię i miał ją zawsze przy sobie – później, w ciągu roku, też.

Nawet wtedy, kiedy się rozchorował na zapalenie płuc i przeleżał w łóżku kilka tygodni.

Nie choroba była wtenczas straszna, tylko to, że ona nawet go nie odwiedziła. Raz zadzwoniła i to było wszystko, na co było ją w tej sytuacji stać. Tłumaczyła się, że boi się zarazić, że w domu ma remont, że w szkole same klasówki i trzeba się dużo uczyć i ślęczeć nad zeszytami do późnej nocy...

Leżąc w łóżku dużo myślał i właśnie w tamtym czasie zaczął pisać jej wiersze miłosne, żywcem wyjęte z epoki romantyzmu – miał do tego talent, miał smykałkę do pisarstwa.

Przelewał na papier całą potęgę swych uczuć, ich subtelne i delikatne odcienie, starając się przekazać jej w jak najbogatszy sposób, co do niej czuje i czym to dla niego jest.

Ona potem je czytała i uśmiechała się niejednoznacznie, nie mówiąc nic. Czasem tylko zauważyła, że jakieś zdanie jej się nie podoba, coś jej zdaniem było w nim nie tak, jak to sobie wyobrażała, albo jakby chciała, aby jej napisał, jeśli w ogóle tego chciała.

On nie usłyszał nigdy słowa pochwały – jedynie widział tylko, że się uśmiecha, lecz co się za tym kryło, długo można by myśleć...

W przypadku krótkich listów, jakie wkładał jej w szkole w kieszeń sprawa przedstawiała się podobnie – ona wciąż uśmiechała się i nie mówiła nic, absolutnie nic. Pisał je, bo czuł taką potrzebę – chciał być skończonym romantykiem i chyba mu się to udało.

Ale to ziarno nie padło na właściwą glebę...

W złą strunę uderzał...

Choć ta miłość dała mu skrzydła, nie były to skrzydła stworzone do latania. Choć była piękną dziewczyną, nawet elokwentną i wygadaną, nie była za grosz romantyczna. Twardo stąpała po ziemi, za twardo, jak na kogoś, kto ma miłość chłopaka. Oglądała się w jego obecności, bez najmniejszego zażenowania, za ładnymi, dużymi samochodami, za złotymi, grubymi jak łańcuch na krowim karku, bransoletkami, za starszymi mężczyznami, w których rękach, tu i ówdzie, zamajaczył pękaty, mocno wypchany gotówką, portfel...

Na widok drogich sklepów i luksusowych restauracji dostawała nieziemskiej histerii.

Potrafiła na zawołanie zapłakać, że nie może tam wejść, bo ją na to nie stać, bo nikogo nie stać, aby ją tam zaprosić i coś jej zafundować. Czyż to nie tragedia? Dla niej był to powód do łez i nierozmawiania całymi godzinami na znak niezadowolenia, które przeżywała tak głęboko, jak on swoją miłość. Jim nic nie mógł na to poradzić – ani na to, że nie miał pieniędzy, ani na jej reakcje.

- Dlaczego ty tego nie masz? – pytała go często z wyrzutem w głosie. – Dlaczego nie jesteś taki wysoki jak tamten pan?

- Może jeszcze urosnę – powtarzał za każdym razem. – Mam na to kilka lat...

Miała rodziców, którzy traktowali ją jak królewnę i podobnych hołdów oczekiwała od świata.

Jednakże takich jak ona było wokoło sporo i bardzo ją to drażniło, gdyż zainteresowanie otoczenia rozkładało się proporcjonalnie na wszystkie te piękności, a ona pragnęła go tylko dla siebie, sądząc z uporem, że cała reszta jest od niej brzydsza, głupsza, gorzej ubrana, mieszka w gorszych domach i w przyszłości ich uroda szybko przekwitnie i zwiędnie, zmieniając je w sflaczałe mamuśki, podczas gdy jej

nie, bo ma najlepsze geny i z takim wyglądem czeka ją fantastyczne życie, które będzie niezwykłym sukcesem pod każdym względem, bowiem jej się to należy za to, że istnieje.

Tylko tyle wystarczy. Z tym się kobieta rodzi – nie każda, rzecz jasna. Lecz jeśli tak jest, zawsze ma się tego świadomość i głowę trzeba nosić wysoko, bo tak powinno być, skoro jest się kimś niespotykanym. Ona nie musi się martwić o lata, które nadejdą – na pewno będą rajem na ziemi. Na nią czeka wyjątkowe, nieprzeciętne miejsce w życiu. Rzuci świat na kolana i nigdy nie będzie miała tego rzucania dość, bowiem jest bardzo ambitna, uparta i wie, czego chce, a to klucz do sukcesu, który w jej przypadku miał oznaczać stan nieskończony, gdyż będzie trwać do ostatniego jej dnia na ziemi. Często to powtarzała, jej rodzice często jej to powtarzali. Potem i Jim zaczął – nie miał wyjścia – był zakochany i zamroczony.

Kobiety podobno zakochują się uszami...

Chociaż spędzała z nim bardzo dużo czasu, nigdy nie powiedziała mu, że go kocha.

Mówiła tylko, że jest jej dobrze, że jest miło, że czasem tęskni za nim, kiedy go nie ma.

On się tym zadawał – musiał. Wielkim szczęściem było to, że w ogóle chciała spędzać z nim cały ten czas, który byli razem, bo mogła mieć kogoś innego i nie zwrócić nigdy uwagi na niego. Nigdy nie dowiedział się, czemu wybrała jego towarzystwo. Może dlatego, że był taki zakochany, taki miękki i uległy? Może dlatego, że tak łatwo można było nim manipulować i trzymać go na dystans? Gdyby był taki, jak ona, nic by z tego nie wyszło – już po pięciu minutach doszłoby do karczemnej awantury i wybuchu wzajemnej, szczerej nienawiści.

Zawsze jej ustępował i w duchu ciągle bał się, że pewnego dnia może zainteresować się kimś innym, kto może okazać się kimś ciekawszym pod tymi wszystkimi względami, które szczególnie działały na jej wyobraźnię. Nie myślał tak bez powodu – za każdym razem, kiedy usiłował mieć własne zdanie, próbując go nieśmiało i ostrożnie bronić, straszyla go, że go zostawi i on jej wtedy wierzył. Kupował każdy jej blef, każde kłamstwo i każdą groźbę.

Był dobrym, romantycznym chłopakiem, który powinien mieć dobrą, romantyczną dziewczynę.

On kochał Emilię, z wszystkimi jej wadami, i wiedział, że zrobi dla niej wszystko, gdyż jest całym jego światem, poza którym ten realny mało się liczył. Była dla niego ideałem i w taki sposób na nią patrzył. Taki obraz wytworzył w swej wyobraźni i sercu, i nawet nie pokusił się ani razu o to, by jakoś zweryfikować go i zbudować na nowo, gdyż był zaślepiony i widział to, co chciał widzieć, nie dostrzegając po drodze tego, co powinien był dostrzegać.

Emilia była jego pierwszą dziewczyną i pierwszy raz kochał – stan jego umysłu wykluczał na starcie logiczne i rozsądne rozumowanie, jako że magia pierwszej miłości jest taka silna, że nic jej się nie sprzeciwi, podczas gdy rozum śpi w najlepsze, uśpiony i wyłączony...

Każdego dnia budował po swojemu pomnik tej miłości.

Lecz nie działało to w drugą stronę – Jim był dla niej z pewnością w pewnym sensie kimś ważnym, jednak nie najważniejszym. Najważniejszą osobą była dla niej jej własna osoba – reszta stanowiła tylko dodatek.

W dniu, kiedy wyznał jej, że w przyszłości chciałby się z nią ożenić, ona też mu coś wyznała.

Nie było to ani górnolotne, ani romantyczne, ani tym bardziej podyktowane jakimkolwiek pozytywnym uczuciem...

- Wiesz, my niedługo wyjeżdżamy z tego miasta. Dokładnie pojutrze. Tata dostał nową, lepszą pracę. Jimu zamurowało.

Przez chwilę pomyślał, że śni mu się jakiś koszmar.

Poczuł, że to najgorsze sekundy jego dotychczasowego, młodego życia.

Nie umiał wydobyć z siebie słowa.

Ona mówiła, jakby nigdy nic:

- Na razie nie mogę ci powiedzieć, dokąd jedziemy. Być może w tym nowym mieście będziemy dość

krótko, bo mogą wysłać tatę za granicę, a jak jego, to i mnie z mamą...

Jim usiadł na ziemi i z trudem łapał powietrze.

Miał wrażenie, że mu go braknie, że coś ciężkiego spadło mu na piersi i chce udusić.

Czuł, jakby życie uciekało z niego, jakby jakaś bezlitosna siła wysysała je z minuty na minutę coraz bardziej i bardziej.

- Ale dlaczego? – jęknął.

- Co dlaczego? – spytała.

- Dlaczego to przytrafia się właśnie nam?

- Tak wyszło.

- Tylko tyle możesz o tym powiedzieć?

- Tak.

- A ja? A co ze mną? Co ze mną teraz będzie?

- Nic. Będziesz żył dalej.

- Bez ciebie?!

- Jak już się urządzimy, zadzwonię do ciebie. Czekaj na mój telefon.

Kiedy potem odprowadził ją do domu, i kiedy już miał iść do siebie, coś nie pozwalało mu odejść spod jej drzwi, coś trzymało jakąś niewidzialną dłoń za ramię. Stał tam jak kamienny posąg i patrzył, jak Emily wchodzi do domu, rzuca mu ostatnie spojrzenie i zamyka drzwi.

Potem zobaczył, jak zapala światło w swoim pokoju i otwiera okno. Myślał, że coś mu powie, ale ona chciała tylko wpuścić trochę świeżego powietrza do środka.

Raz jeszcze rzuciła na niego okiem, jakoś tak niechętnie, jakby od niechcenia, i zniknęła.

- Emily! – zawołał.

Był zdruzgotany i zrozpaczony.

Jego świat powoli stawał się ruiną.

Jeszcze tylko dwa dni i stanie się nią do końca...

- Co? – spytała, pojawiając się ponownie w oknie.

- Kiedy dokładnie wyjeżdżasz?

- Pojutrze o ósmej rano.

- Jutro się spotkamy? – pytał drżącym głosem.

- Jutro nie mogę. Będziemy się pakować.

- Więc przyjdę pojutrze rano pożegnać się z tobą.

- Dobrze – odpowiedziała. – Przyjdź.

Kiedy to już zrobił i ku swemu bezgranicznemu przerażeniu odkrył, że w domu nikogo nie ma i drzwi są zamknięte na głucho, zrozumiał wszystko – Emily i jej rodzice już wyjechali...

Poszedł jeszcze do sąsiada i upewnił się.

Usłyszał straszną prawdę – oni opuścili dom dzień wcześniej, a więc okłamała go...

Tak zwyczajnie, tak lekko – okłamała go.

Na chwiejnych nogach powlókł się gdzieś, przed siebie...

2

Choć mijał dzień za dniem, noc za nocą, rozpacz nie mijała – tylko ona pozostała z nim na dobre. Niewiele jadł, niewiele mówił. Tonął w myślach. Patrzył w niebo, jakby stamtąd miała nadejść pomoc.

Rzadziej brał udział w spotkaniach z kolegami, rzadziej się uśmiechał...

W końcu większość czasu po szkole zaczął spędzać w domu, czekając na jej telefon.

Udawał, że czyta książki, że śpi, albo że robi porządek w szafie.
Cały czas czujny, nasłuchiwał upragnionego dzwonka, który nagle rozpruje ciszę.
I oglądał po raz tysięczny jej zdjęcia, wiszące gęsto na ścianach jego pokoju...
W jego sercu padał ciągle deszcz...
Nic nie cieszyło, nic nie miało znaczenia.
Błękitne niebo jego duszy pokryły ponure, czarne chmury, mętne jak ołów, mętne jak smutek.
Przed oczyma miał wspomnienie ich ostatniego spotkania, tego małego pożegnania pod jej domem. Było takie nijakie, takie żadne. Nie tak powinno to wszystko wyglądać. Nie było w nim za grosz romantyzmu. On to przeżył głęboko, lecz czy on też? Jakże obojętnie rzuciła mu te ostatnie, kłamliwe słowa. Poleciały swobodnie, jak piórko na wietrze, jak piórko niewiele ważąc. Nie zasłużył na to. Jego miłość nie zasłużyła na to. Jednak dostał to, co dostał...
Czasu już cofnąć nie mógł.
Czekał wytrwale na telefon.
Czekał w maju, czekał i w grudniu.
Choć po drodze on i jego rodzice odbierali różne telefony od różnych ludzi, o różnych porach dnia, a czasem i nocy, tego jednego, jedyne nikt z nich nie odebrał...
On po prostu nie zadzwonił.
Było mu źle jakby był zatruty trucizną składającą się z wszystkich odmian bólu...
Było mu źle, jak może być źle komuś, kogo los brutalnie przetrzącił.
Bez znieczulenia znosił każdy kolejny, przykry, szary dzień.
Tracił wiarę i tracił chęć do życia. Czuł, jak grunt usuwa mu się powoli spod nóg.
Nie chciał tak się czuć i coraz ciężiej przychodziło mu zmuszanie się do czegośkolwiek.
Po powrocie ze szkoły pytał zawsze matkę, czy może Emily dzwoniła.
Odpowiedź była niezmiennie ta sama...
- Synku, jeśli ona dotąd nie zadzwoniła, to jest małe prawdopodobieństwo, że...
- Przestań, mam! Ona musi zadzwonić! Wie, że czekam! Ja ją kocham! – głos pełen desperacji wydobywał się jego piersi.
Często rozmawiał z ojcem – byli przyjaciółmi. Mógł mu się zwierzyć z wszystkiego, co go gryzło. Szukał jakiegoś wytłumaczenia, jakiegoś, bodaj marnego, chwilowego pocieszenia.

Ojciec znał dobrze życie i był mądrym, doświadczonym człowiekiem.
Znał się na ludzkich charakterach jak rzadko kto. Nie wiedział, co ma synowi rzec. Ta sytuacja wymagała delikatności i wyczucia. Nie mógł mu przecież powiedzieć, twardo i bez ogródek, że jego obraz Emily był zawsze bardzo wyidealizowany...
- Jimmy, może już czas, abyś dał sobie z tym spokój?
- Z nią? Ja ją kocham, tato! Ona wie, że czekam!
Czekał dalej. Każdego dnia, każdej nocy. Nasłuchiwał. Wierzył w nią. I w ten telefon...
Bywały chwile, że przysięgłby, że go słyszy, tam, za ścianą, w przedpokoju.
- Pi – pi – pi! Pi – pi – pi! Pi – pi – pi!
Wybiegał wtedy błyskawicznie z pokoju i uderzał twarzą w martwą ciszę drzemącego w uśpieniu domu. Nikt nie dzwonił. To było tylko złudzenie, taka mała gra wyobraźni...
Aparat wisiał nietknięty na ścianie. Nic się nie zdarzyło, nic nie miało się zdarzyć...
Sprawdzał wtedy, czy aby jest dobrze podłączony. Był. Ciągły sygnał odzywał się w słuchawce. Nie był popsuty. Często z niego korzystali. Nie tu tkwił problem...
- A może ona dzwoniła, tylko nie chcecie mi o tym powiedzieć? – Jim ratował się rozpaczliwie każdą, małą hipotezą.
Rodzice spoglądali na niego ze zdziwieniem i zaniepokojeniem, by po chwili rzec zgodnie:

- Przecież wiesz. Gdyby zadzwoniła, natychmiast byś o tym wiedział. Ona naprawdę nie dzwoniła...
- Ale mija już drugi rok, odkąd czekam na jej telefon! – krzyczał zrozpaczony.
- Wiemy, wiemy... - smutno spoglądali rodzice, widząc, w jakiej kondycji jest ich syn.
- Niedługo miną dokładnie dwa lata, odkąd wyjechała. Nawet nie wiem, gdzie teraz jest, co teraz robi. Może tęskni za mną? Może zgubiła mój numer telefonu? Pewnie tak właśnie jest.

To dlatego nie dzwoni! Prawda? Powiedźcie, że to prawda!

Ojciec i matka wymienili znaczące spojrzenie i rzekli:

- To całkiem możliwe. To prawdopodobne...

Ale w ich słowach nie było siły, nie było przekonania. Wypowiadane przez nich zdania niepokoiły brakiem szczerości. Były jak pocieszenie w beznadziejnej sytuacji, kiedy trzeba powiedzieć to, co ktoś desperacko chce usłyszeć, gdyż jego świat gwałtownie zapada się pod ziemię i za chwilę będzie już tylko wspomnieniem. Wtedy każde słowo się liczy.

Jim nie stracił do końca umiejętności logicznego myślenia.

Próbował wyciągać wnioski płynące z zestawienia prostych informacji.

Często mówił:

- Ale nie. To nie jest tak. Przecież to takie łatwe. Zna mój adres, może zawsze ustalić nasz numer telefonu...

Ojciec zgodził się z tym:

- Właśnie – może.

- Coś musiało jej wypaść... Coś musiało się wydarzyć... - szeptał chłopak za każdym razem, kiedy pytał rodziców, czy dzwoniła.

Kiedy już pracował jako kierowca sporego samochodu dostawczego w firmie pana Huxleya, nadal zadawał te same, znane na pamięć, pytania...

Nie chciał się dalej uczyć – nie zależało mu.

Jako jedyny nie poszedł na studia, choć na maturze miał całkiem niezłe stopnie. Szkoła kojarzyć mu się już miała na zawsze tylko z nią, z Emily, jego pierwszą, jedyną i największą miłością. Dlatego zerwał z nią – nie chciał bólu. Nie miał już głowy do nauki. Na każdym, szkolnym korytarzu widziałby tylko ją...

Jeździł po okolicy i dowoził towar do sklepów.

Pewnego dnia skończył dwadzieścia trzy lata i zrozumiał, że czeka na ten telefon już czwarty rok, choć po drodze widywał wiele pięknych dziewczyn, gotowych się z nim umówić.

One były wszędzie, czekały...

Same wskakiwały do jego samochodu. Wodziły za nim powłóczyłymi spojrzeniami. Był przystojny i mógł podobać się każdej. Nie wiadomo kiedy jakoś to do niego dotarło, że ten telefon nigdy już nie zadzwoni. Ona nigdy już się nie odezwie. Coś musiało się po drodze wydarzyć. Coś musiało zamknąć jej drogę do niego...

Pewnego dnia, przypadkowo, poznał młodą dziewczynę, wysoką i piękną z długimi, brązowymi włosami, niebieskimi oczami, delikatnymi dłońmi o wysmukłych, ładnych palcach, rozwiniętą ponad wiek i dającą obietnicę nieznanych przyjemności, które nie posiadały jeszcze nazwy. Jakże bardzo przypominała mu Emily! Była jak jej sobowtór!

Jak siostra bliźniaczka. Stał i patrzył na nią zamroczony i poruszony. Jakby nagle cofnięto czas...

Pracowała w sklepie swego ojca, grubego, wiecznie spoconego faceta z przyklepionym do dolnej wargi niedopałkiem kubańskiego cygara, i kiedy tak stała, on patrzył na nią oniemiały i widział w niej tamtą, która tak lekko go porzuciła, tak głupio zabawiła się jego miłością, na koniec okłamując. Jednak to podobieństwo zaważyło – Jim nie pozostał obojętny.

Zaczął się z nią spotykać.

Pozwolił się adorować.

Tym razem nie musiał się już wysilać.

Ona szeptała mu, że go kocha, że jest najpiękniejszy i najmądrzejszy, i że chciałaby urodzić mu gromadkę dzieci i żyć z nim szczęśliwie aż do samej śmierci. Kupowała mu prezenty, zapraszała do domu na proszone obiady. Odprowadzała go do samochodu. Tuliła się do niego, bojąc się, że może się kiedyś rozmyśli i znajdzie sobie inną. Czasami dawał się pocałować, czasami nie, raz był miły, raz zimny jak gład. Okleiła sobie cały swój pokój jego zdjęciami, jakby był wielkim amantem ekranu, podczas gdy on nie zrobił jej nawet, jednej głupiej fotografii...

Była bardzo romantyczna i powinna poznać podobnego do siebie, romantycznego chłopaka, który by ją nosił na rękach i śpiewał nocą pod balkonem serenady. Poznała Jima, w którym nie było już za grosz romantyzmu. Nigdy nie przyniósł jej kwiatów. Nie pamiętał o jej urodzinach...

Kiedy była raz chora, nie odwiedził, bo bał się zarażenia, a poza tym miał dużo pracy.

Świdrował ją swym spojrzeniem, od którego miękły jej kolana. Lubił mówić o sobie, tylko o sobie, we wszystkich, istniejących zaimkach. Twierdził, że ma przed sobą świetlaną przyszłość i daleko zajdzie, bo mu się to należy od losu, który zawsze doceni kogoś wyjątkowego.

To, że jest obecnie kierowcą samochodu dostawczego nie oznacza, że za kilka lat nie zostanie sławnym politykiem lub bogatym biznesmenem. Podobały mu się bardzo drogie samochody, luksusowe sklepy i pękate portfele, które często widywał gdzieś, po drodze.

Mówił, mówił, mówił.

Trudno było mu przerwać.

Przytakiwała mu bez przerwy, nie forsując własnego zdania. Jej uległość stała się dla niego na moment elementem przyciągającym. Wiedziała, że gdyby była taka jak on, zdecydowana, nieustępliwa i władcza, nic by z ich znajomości nie wyszło – skończyłoby się na karczemnej awanturze i wybuchu szczerej nienawiści.

Pisała do niego listy, pisała i krótkie wiersze, opisujące swoją miłość i to, czym dla niej jest.

On czytał je potem i uśmiechał się niejednoznacznie...

Mówił jej, bo chciała to usłyszeć: „Tak, oczywiście, pewnie, na zawsze, na wieki, przysięgam...”

Choć nigdy nie powiedział, że ją kocha, pewnego, letniego dnia ożenił się z nią.

Nawet nie wiedziała, że w kieszeni marynarki miał ukryte zdjęcie Emili...

Nazywała się Karen i została jego żoną. Co w ogóle do niej czuł? Po co dał jej słowo?

Pytanie trudne, skomplikowane...

Miał swoje powody, by się na nią zdecydować. Gdyby nie one, nie zwróciłby na nią uwagi.

Lecz jak można było przejrzeć na wylot tak zamkniętego w sobie człowieka?

Przez następne dziesięć lat był żonaty jeszcze dwa razy.

Zawsze pewnego dnia, przypadkowo, poznawał młodą dziewczynę, wysoką i piękną z długimi, brązowymi włosami, niebieskimi oczami, delikatnymi dłońmi o wysmukłych, ładnych palcach, rozwiniętą ponad wiek i dającą obietnicę nieznanych przyjemności, które nie posiadały jeszcze nazwy...

Z Karen wytrzymał jeszcze rok, choć bardzo go prosiła, aby nie odchodził.

Był na to głuchy, nie ugiął się. Zostawił ją bez zmużenia oka...

Jego druga żona nazywała się Dorothy i żył z nią trzy lata.

Ładna buzia, ładne słowa, ładna pustka. Używała najdroższych perfum. Była w niego wpatrzona jak w obraz, lecz obraz nie chciał przemówić. Próbowала go kochać, lecz się nie dało. Miała naprawdę dobre chęci. Całowanie jeża byłoby przyjemniejsze...

Trzecia miała na imię Clare i był jej mężem sześć lat.

Miała bogatego tatusia, który był właścicielem kopalni czegoś tam i to chyba zaważyło na tym, że stosunkowo długo byli razem. Kupiła mu nawet kabriolet. Całowała do snu, budziła pocałunkiem o poranku. Umiała gotować i być czułą wieczorem. To było za mało. Pewnego dnia została rozwódką...

Z żadną ze swych trzech żon nie miał dzieci, bo nie chciał.

Czasem mówił coś o tym, że jeszcze do tego nie dojrzał, że na wszystko jest czas. Był w drodze, był w ciągłym zawieszeniu. Nie zagrzał miejsca we własnym domu, bo nie umiał żyć ze wspomnieniami. Był jak wiatr. Choć go nie widać, jednak jest, choć jest, to go jednak nie widać...

Podświadomie czekał na Emily i jej nadejście.

Minęło tyle lat, lecz ta rana nie chciała się zbliżnić.

Coś tkwiło w nim, jak obce ciało, i nie chciało wyjść.

Nie mógł wiązać się potomstwem z kobietami, których nawet nie kochał. Brał je, bo same tego chciały. Nikt ich nie zmuszał. Pchały się w jego życie drzwiami i oknami. Ich problem, nie jego. Kobiety to towar przechodni. Kochał tylko raz i miał pecha, że to musiała być właśnie Emily...

Łapał się na dziwnych chwilach zadumy, kiedy to wyobrażał sobie ją jako zabójczą i piękną królową świata, kobietę sukcesu, damę z najwyższej półki, która dzięki swej charyzmie i sile charakteru, dzięki swemu sprytowi i przebiegłości, osiągnęła wszystko i dziś cieszy się, że poszła za instynktem, który nakazywał tylko drogę do góry i tym samym powalenie zwykłych ludzi na kolana, uświadamiając im, że niektórzy rodzą się wybrańcami losu. Ona na pewno zaszła tak daleko, jak to sobie wymarzyła. Nie mogło być inaczej, nie mogło. Emily miała to w garści! Lecz gdzie dziś była jego Emily? Gdzie jej szukać? Kim stała się przez te lata?

Wielokrotnie zadawał sobie to pytanie.

Choć czas, w międzyczasie, pognał do przodu jak dziki koń, pewne rzeczy nie ruszyły z miejsca. Dla nich była tylko nieskończoność trwania. Myślał o niej, myślał często – musiała przecież istnieć gdzieś, w przestrzeni. Ona – jego jedyna miłość. Jego pierwsza i ostatnia...

Ktoś, kto zmienił w nim wszystko. Jego dziewczyna. Emily. To zjawisko, które dane mu było niegdyś poznać, gdy był jeszcze w liceum. Ta niezwykła kobieta, mająca dar zmieniania innych. Te oczy, które patrzyły tak, że świat na moment przestawał istnieć, jakby go nigdy nie było. Całe otoczenie zdawało się majaczyć jak bzdurna, kiczowata scena, na której od lat nie wystawiono jednego, porządnego spektaklu.

A potem, nigdy nie było już się tym, kim się było wcześniej...

Jak on, który miał okazję poczuć to na sobie.

Czy inni, którzy mieliby kontakt z nią, staliby się tym, czym on się stał?

Czy dotyczyło to wszystkich?

A może tylko takich, którzy dali jej się omamić?

Pozwolili roztoczyć nad sobą niebezpieczne uroki...

Pewnego dnia, w jakimś małym, sennym miasteczku, poznał dziewczynę, małą, rudą, piegowatą i niezbyt wesołą, wypełnioną osobliwym sarkazmem, z którą bardzo ciężko mu się rozmawiało i która patrzyła na niego jak na latający, srebrny spodek, podejrzliwie, bez podziwu - bez tego podziwu, który tak lubił.

- Pan jest taki nadęty! – powiedziała mu raz.

- Pan jest narcyzem?- spytała któregoś środy.

- Pan dostrzega to, co jest poza pana nosem? Cały nasz świat? Innych ludzi, sprawy innych mieszkańców ziemi? Czy do pana to w ogóle dociera? – pytanko cięte, ostre.

Jim nie reagował – nie chciało mu się. Tak zwyczajnie. Z naturalną obojętnością. Nie szukał kolejnej żony. Nie szukał nikogo.

Nikogo?

Szukał jej – tej dziewczyny, która przetrąciła jego życie, która zmarnowała jego czas...

Nigdy nie przestał jej szukać, ani o niej myśleć, choć nigdy nie powinien był jej poznawać.

Istnieje płomień, który nie chce się wypalić i to właśnie on płonął w nim cały czas. Czasem wracał zaledwie jeden sen temu. Wtedy coś rodziło się w umyśle...

I kiedy potem ów rudzielec nadal mówił: „Pan jest dziwny, pan jest trudny, pan jest przytłaczający, pan

jest nieznośny...”, on słyszał w tym złośliwym tonie głos tamtej, która jakże łatwo, jakże lekko, krytykowała go za każdym razem i sprowadzała do poziomu byle kogo, jakby naprawdę nic nie znaczył, jakby był tylko małym dodatkiem do jej wielkiego, przyszłego życia, w którym dla niego nie było już miejsca, bo był przeciętniakiem, uległym głupkiem z małego miasteczka, który zakochał się na zabój, czyli okazał się idiotą do kwadratu, bo stracił instynkt samozachowawczy i pozwolił sobą kierować.

Nie rozmawiał już potem z tą brzydką, rudą dziewczyną – nie miał dla niej czasu.

Nie była w jego typie. Pozostała w jego pamięci jak syrena strażacka, koszmarnie wyjąca i nieznośna dla ucha. Jej jazgot był jak grzechot miliona gwoździ, które tłuką się bezładnie w jakiejś metalowej skrzynce, w bagażniku, kiedy nie chce się tego słuchać.

Czasem łapał się znów na tym...

Na marzeniach i wyobrażeniach.

Choć wiedział, że się zmienił, że Emily już nie ma nad nim władzy, bo obecnie nie pozwoliliby sobie na jej nieznośne humory i dziwaczne zachowania, pełne królewskiej dumy i niewyobrażalnej pychy, która już do niego nie przemawiała, gdyż był już na to głuchy i ten zatruty czar już nie działał, był jednak ciekaw, jakoś podejrzanie ciekaw, jakby wyglądało ich nagłe spotkanie po latach – nieoczekiwanie, ni stąd, ni zowąd...

Tak po prostu – gdzieś, kiedyś, nagle...

W zaskakującym miejscu...

Wciąż był kierowcą samochodu dostawczego, którym rozwoził po okolicznych wioskach i miasteczkach towar do sklepów i spoglądał od czasu do czasu na młode, opalone dziewczyny, które puszczały do niego oczko, tu i tam, jakby wiedziały, że taki łatwy z niego łup...

Uśmiechał się do nich niejednoznacznie i dawał im nadzieję. To nic nie kosztuje.

Miał na oku trzy, może cztery takie, z którymi mógł „zakręcić na poważnie”, gdyby coś go koniecznie naszło i gdyby zdecydował się na takie posunięcie, ale póki co, zwlekał, bo znał smak tego miodu i nie potrzebował chwilowo kolejnej żony, bowiem był jeszcze młody i chciał złapać w płuca trochę świeżego powietrza, a nie tylko wyziewy smażonych placków ziemniaczanych, mielonych kotletów i dusznych, tandetnych perfum.

Kiedyś zachciało mu się jeść, w jakimś małym mieście, podłym i zapuszczonym, jak sto nieszczęść razem wziętych, wyglądającym jak jeden, wielki śmietnik, na jakimś kompletnym, beznadziejnym zadupiu, gdzie psy i koty fruwały na uszach, diabeł mówi „dobranoc”, a najświeższą gazetę czytano trzydzieści lat temu, bo jakiś przyjezdny ją wtedy zgubił.

Coś go tam usadziło, bo głód był okrutny. Ssał jak sto czortów. Nie jadł od rana, czyli od niepamiętnych czasów. Szukał jakiejś taniej, dobrej knajpki. Zupełnie przeciętnej. Takiej w sam raz dla kierowcy, który jest w drodze od wielu godzin.

Zapytał człowieka na ulicy i on rzekł, że warto iść na stołówkę, do szkoły podstawowej, bo tam nieźle karmią za małe pieniądze. Taka jadłodajnia dla ubogich – gość w dom, Bóg w dom.

Spróbował tego adresu.

Budynek niszczący, zaniedbany, wręcz obskurny. Na jego widok chciało się natychmiast uciekać jak najdalej. Prawdziwe zabójstwo dla apetytu. Ostatnia deska ratunku dla mocno zdesperowanych.

Wszedł do środka.

Poza nim było tam jakichś dwóch, brodatych, śmierdzących na odległość, kloszardów w podartych butach i dziurawych koszulach na wynędzniałych grzbietach.

Podszedł do okienka, w którym przyjmuje się zamówienie i spojrzał na menu. Niewyszukane, proste, zwyczajne. Wybrał klopsy z ryżem i zupę pomidorową. Najtańszy zestaw, może nie zaszkodzi, może uda się go dowieźć w brzuchu do domu.

Zapłacił i poszedł do stolika. Przez jakiś czas patrzył na ścianę, brudną i lepłą, jak ludzkie myśli. Nie

malowano jej chyba ze sto lat. Ktoś na niej napisał: „Miłość to brzmi dumnie.”

Ktoś inny dodał: „Miłość to zaćmienie umysłu.”

Na blacie zatłukł trzy, wielkie muchy, obłeśne i jakieś podejrzenie rozrosłe, i zamierzał robić to dalej, bowiem pojawiły się kolejne, kiedy nagle głos w drugim, nieco mniejszym okienku, oznajmił głośno i oficjalnie, że danie jest do odebrania.

Wstał i poszedł tam.

Zabrał posiłek i usadowił się na twardym, niewygodnym krześle, zjadł swój obiad.

Był niespecjalny – jak to w małym dziurach, byle jaki. Grunt, że ciepły.

Posiedział sobie na podłym krześle kilka minut i podniósł się, aby odnieść talerze.

Kiedy je wsuwał do małego okienka, z którego je wcześniej odbierał, podeszła jakaś kobieta i wzięła je bezceremonialnie w dłoń i wtedy Jim przyjrzał jej się bliżej. Choć była zużyta i zniszczona przez życie, zachowała wiele z dawnej, świeżej urody. Musiała być kiedyś niezwykłą piękną – widziało się to od razu. Jej twarz, usta, nos, oczy i ręce świadczyły niezbicie o tym, że była przed laty piękna. Musiała być wtedy prawdziwym zjawiskiem.

Nie chciał się ruszyć, kiedy ją tam zobaczył.

Coś mu nie pozwoliło, coś kazało jeszcze trochę poprzyglądać się...

Widział jej profil, widział jej sylwetkę wysoką, zgrabną.

Miał bardzo dobrą pamięć...

- Pan sobie życzy? – spytała obojętnie widząc, że się jej przygląda.

- Był kiedyś taki chłopak – rzekł do niej zniecierpliwiony, patrząc jej śmiało prosto w oczy - głupi i naiwny chłopak, który kochał pewną zarozumiałą, rozpieszczoną dziewczynę. Była całym jego światem. Nic poza nią się dla niego nie liczyło. Chodzili do tej samej szkoły. Spędzali ze sobą każdą, wolną chwilę. On ją kochał jak nikogo, ona pozwalała mu się kochać. Mógł umrzeć dla niej, ona nie umiała powiedzieć mu nawet jednego, dobrego słowa. Zadawała się byle czym, każdym ochłapem z jej ust. Grała z nim w nieczystą grę, bez happy endu. Nie chciał o tym słyszeć, nauczył się o tym nie słyszeć. Była zafascynowana w siebie i nic innego się dla niej nie liczyło. On był tylko dodatkiem, mało ważnym i bzdurnym. Czy spotykała się z nim z nudów, aby mieć kogokolwiek, nie wiadomo. Był dla niej nikim, podczas gdy ona była dla niego wszystkim. Kiedyś wyjechała. Oszukała go, że się pożegnają, że do niego zadzwoni. Robienie komuś nadziei nic nie kosztuje. Kłamała. Nie zadzwoniła nigdy. On przez wiele lat czekał na tamten telefon...

- To ty? – spytała nagle. – To ty?

- Tak, to ja, Emily, to ja...

Wyszła do niego i wtedy mógł jej się dokładnie przyjrzeć. Nie było już tamtej, pięknej Emily – była jakaś zniszczona i sterana życiem kobieta, która miała dużo siwych włosów pomimo wciąż młodego wieku, kupę zmarszczek i brak dwóch przednich zębów. Nie mogła już zrobić na nikim wrażenia, chyba że złe. Podupadła i nawet tego nie kryła. Wyglądała na starszą niż w rzeczywistości była. Poczuli się przy niej, jak przy grubo starszej siostrze, której lepiej nie pokazywać kolegom. Przykro było mu na nią patrzeć. Przykro, bo pamiętał tamtą...

- Dlaczego nie zadzwoniłaś? Czekałem wiele lat – spytał bezpośrednio.

Uśmiechnęła się tak, jak przed laty, niejednoznacznie.

Powiedziała:

- Byłeś takim beznadziejnym romantykiem, że nie było przy tobie dla mnie przyszłości. Ja nie chciałam twoich nawiedzonych wierszy, twoich westchnień. Tych wszystkich porywów duszy. Byłeś z innej gliny niż ja. Wiedziałam, o co mi chodzi. Od zawsze. Lubiłam samochody i rzeczy konkretne. Takich, którzy umieli robić pieniądze. W tym jest siła i męskość. Władza. Tacy mężczyźni mi zawsze imponowali, ty nigdy nie mogłeś być taki. Byłeś idealistą. To w życiu nie wypali. Z tego nic nie będzie. Chciałam poczuć to wszystko, co wiąże się z pieniędzmi i życiem na całego.

- I co miałaś swoje życie na całego? Zostałaś królową świata? – zapytał.

Ona spojrzała na niego i zaśmiała się ochryple jak prosta chłopka z bazaru:

- Coś ty! Wiesz czemu nie dzwoniłam? A powiem ci, a co tam! Bo poznałam takiego jednego, był grubo po trzydziestce i szeroko się prowadził, jak pan na włosciach. Elegancik. Włosy na brylantynę, te sprawy. Ładny zegarek. Mówił, że ma oszczędności w banku, że może kiedyś pojedziemy na Hawaje. Chodził koło mnie miesiąc. Zapraszał do drogich lokali. Kupował prezenty. Dałam się na to nabrać, a kiedy pokazał mi, kto tu rządzi, pokochałam go. Był dziki i nieobliczalny. Podobało mi się to. Pił i bił. Bił i pił. „Gęba nie szklanka” – mawiał. Nie pisał mi wierszy i nie wyznawał mi miłości co noc. Nic mi nigdy nie obiecywał. Nawet nie wiem, czy mnie w ogóle kochał. Był prostakiem. Można rzec, nikim. Pracował w lesie, siekierą. Miał twarde, żylaste dłonie. Miał w sobie tyle męskości, że wiodły mi przy nim kolana. Jak mnie dotykał, robiło mi się zimno...

- I co dalej? – pytał zaskoczony i mocno zniesmaczony.

Pierwszy raz w życiu słyszał coś podobnego.

Pierwszy raz w życiu poczuł bardzo mocno i wyraźnie, czym jest wstręt.

- Tak koło mnie latał, że mam z nim teraz trójkę dzieci. Same dziewczynki. Potem zmył się. Nawet nie raczył się ze mną po drodze ożenić. Ani pożegnać. Był i nagle zapadł się pod ziemię. Nie ma go już od dwóch lat. Ale dzieci do niego podobne, charakterne...Pytają się ciągle o tatusia...A ja im mówię, że niedługo wróci.

Jej widok była naprawdę oplakany. Jej słowa świadczyły o tym, że od lat żyła w innym świecie. Tam, dawne zasady, wydawały się śmiechu wartym dowcipem...

Nawet nie wiedział, że spotkanie z nią, tak przypadkowe, tak nagle, nie wzbudzi żaru krwi, nie podniesie ciśnienia, nie sprawi, że serce zabije szybciej...

Teraz czuł do niej tylko litość. Wegetowała na obrzeżach życia. Nie była już dla niego ideałem kobiety – ten ideał sięgnął bruku. Była tylko jakaś wymięta, zniszczona kobieta, którą kiedyś kochał do szaleństwa, bo był ślepy, głupi i młody. Liczył na cud. Miał marzenia, dużo marzeń. Nie był realistą. Nawet nie wyczuł, że nie wyczuł, kim naprawdę była. Wciąż trafiał kulą w płot. Ich oczekiwania zawsze się rozmiękały. Nie poznał jej nawet w połowie...

- Nie jest łatwo... - rzekła nagle. – Marnie tu płacą... - i mówiąc to spojrzała na niego spod oka, jakby chciała zaprosić go do tańca.

- Nigdzie nie dają za darmo – odpowiedział Jim.

- Nie wiem, za co zapłacę te rachunki za gaz... - stęknęła patrząc na niego spode łba. – Jest ich tak dużo...

- Gaz ostatnio zdrożał... - powiedział.

- Pewnie nam wyłączy... - jęknęła nieco teatralnie.

- Zawsze tak robią – spuścił głowę Jim.

- Może mnie odwiedzisz? Mam dwa pokoje. Dziewczynki położę do jednego, a my będziemy mieć drugi tylko dla siebie.

On uśmiechnął się, jakby ktoś proponował mu kupno nieświeżej ryby.

- Nie. Dzięki. Nie odwiedzę cię.

- Ale czemu?

- Bo nie.

- Ale czemu?

- Miałaś na to wiele lat.

- Tak mówisz?

- Tak mówię.

- Może...

- Ile potrzeba ci na te rachunki? – spytał.

- Pięćset. Zresztą może być mniej. Każdy grosz się przyda – odpowiedziała bez zająknięcia, jakby od dawna czekała tylko na to pytanie.

Na jej twarzy pojawił się ten sam brak zażenowania, jaki pamiętał ze starych czasów.

Ta sama beznadziejna pustka.

Sięgnął do kieszeni i dał jej zwitek banknotów.

Spojrzała na nie jak na rodzoną matkę i uradowana powiedziała:

- Nie wiem, kiedy będę mogła ci to oddać, Jim. To dużo pieniędzy. Wiesz, jak jest.

- Nie ma sprawy – rzekł poważnie. – Mnie się nie śpieszy.

- To dobrze, bo u mnie cienko...

- Będę leciał. Mam jeszcze trochę pracy – rzekł to, choć nigdzie mu się tego dnia nie spieszyło.

- Rozumiem. Praca rzecz święta!

- Trzymaj się, Emily.

Ona nagle wyjęła coś z kieszeni, co okazało się później małą figurką z plasteliny, którą ulepiła jedna z jej córek, i dała ją Jimowi z uśmiechem:

- Weź to. Moja Cindy to zrobiła. To Amor. Może przyniesie ci szczęście w miłości.

- Ach tak...

- Może znajdziesz taką samą romantyczkę jak ty, i staniecie się jedną duszą w dwóch ciałach. Wśród innych typów nie szukaj, nie dla ciebie.

- Próbowałem... - rzekł Jim. – Żle próbowałem, bo wciąż pamiętałem ciebie. Byłaś w mojej głowie przez wiele lat. Przez wiele diabelnie długich lat. Teraz to się skończy, teraz mi to już nie grozi... - i rzekłszy te słowa przeszedł przez stołówkę i ruszył spokojnie ku swemu samochodowi dostawczemu, zaparkowanego pod szkołą.

2010-08-10

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 10.03.2012 09:59

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.